

Niebliski przyjaciel

W moim domu zawsze panował chaos. Niezliczone postęпки całkiem sporej gromady dzieci często uniemożliwiały mi codzienne obowiązki. Konkretnie, pomoc ojcu w sprawach otwarcia nowej fabryki. Pomimo iż miałem wtedy szesnaście lat, ojciec mój chciał, bym był gotowy na przejęcie interesów rodzinnych już teraz. Opieka nad dziećmi przerastała nasze możliwości. Nie chodziło wyłącznie o mnie. Sam nigdy nie skarżyłem się na trudności. Bardziej dotyczyło to mojej mamy, którą należało odciążyć z nadmiaru obowiązków. Zatrudniono wtedy dwie guwernantki, by zajęły się moim rodzeństwem i osieroconym kuzynostwem. Znowu nie mogłem skupić się na swojej pracy. Jedną z nauczycielek - Klara Lorenzzy, swą filigranowością i precyzyjnym spojrzeniem oczu koloru lazurów, zapadła mi w pamięć. Stała się obiektem moich westchnień. Tygodnie mijały, a ja z dziecięcą radością, jak po sznureczku hasałem u boku piękności, wędrując z nią na sąsiednią polanę. Spędzaliśmy tam każdą wolną chwilę, śmiejąc się i rozmawiając. Poznawaliśmy się coraz bardziej.

Tak minął rok. Nasze spotkania odbywały się w tajemnicy przed innymi. Tak chciała Klara. Niestety, w tym okresie coraz mniej obchodziły mnie sprawy fabryki. Częściej wieczorne siedzenie w fotelu z dokumentami w ręku zamieniałem na krzesło w pobliskim szynku i szklanekę dobrego trunku, co wnet dawało skutek chwilowego rozluźnienia. Razem ze mną przesiadywał tam niejaki William Roocker, ponoć syn dostojnika państwowego. Starszy ode mnie o kilka dobrych lat. Mogę powiedzieć, że takiego chytrego i przebiegłego człowieka nie dane mi było dotąd spotkać. Mężczyzna, który pomimo tego, że ma wszystko, zerował na innych jak tylko się da. Skąpiec jakich mało. Zakładał się o pieniądze z każdym, a robił to tylko wtedy, gdy był pewien wygranej. Kiedy przychodził do lokalu, zajmował miejsce zawsze obok mnie. Nieraz gawędziłem z nim, starając się być jak najbardziej oszczędnym w opowiadaniu o sobie, toteż mało o mnie wiedział. Ja natomiast na jego temat wiedziałem tyle, że zdołałbym napisać jego biografię. William był okrutnie bogaty. Swój majątek zawdzięczał pobliskiej fabryce, której był właścicielem. Niewzruszony ludzkim cierpieniem, myślał wyłącznie o sobie. Dla niego heroiczne działania były żenujące. Często, mimo mojego sprzeciwu, żartował z takich postaw. Nieraz też skarżył się na problemy finansowe, co odbierałem jako bezczelne łgarstwo.

Kolejne miesiące mijały, a ja dostrzegłem, że na ręce Klary nie ma już małego pierścionka. Początkowo nie dotarło do mnie, że był to pierścionek zaręczynowy. Widać z kimś była po słowie. Zaniepokoiło mnie to, lecz pochłonięty bezgranicznym uczuciem szybko o sprawie zapomniałem. W pewnym momencie pozostawało mi myśleć tylko o niej, bo mojego chytrego kompana nie widziałem już długi czas. Słyszałem plotki, że podupadł na zdrowiu, co było dla mnie niezbyt zrozumiałe, lecz nie śmiałem pytać o szczegóły. Gromadziłem oszczędności, które gdy, o dziwo, upadła pobliska fabryka, znacznie wzrosły. Potrzebne mi były rzecz jasna na zakup własnego podarku, który miałem wręczyć Klarze już niedługo, wypowiadając pytanie, po którym przy wielkim szczęściu mógłbym zostać z nią już do końca życia. Tak też się stało. Pewnego dnia przychodząc do szynku, usłyszałem: „szczerze gratulacje” od byłego narzeczonego Klary. Do końca życia zapamiętam moment, w którym jego twarz i postawa przybrały wymiar iście zabójczy. Jego pięści gotowe były rozszarpać mnie na strzępy. Usłyszałem kolejny układ słów: „Wtorek siedemnasta”. To już dobitnie miało oznaczać swego rodzaju zaproszenie na pojedynkę, w najgorszym przypadku – mój ostatni. Trząśłem się ze strachu na samą myśl o starciu. We wtorek przed siedemnastą, w miejscu gdzie przesiadywałem z Williamem, było głośno o dzisiejszym pojedynku, a dwa krzesła przy stole pozostawały puste.

W ręku broń. Twarzą w twarz z przeciwnikiem. Ostatnia wymiana złowrogich spojrzeń. W tył zwrot, kilka równych kroków. Na karku czułem „wzrok” strzelby. Padły dwa strzały. Jeden chybiony. Drugi zaś trafny, jakby wystrzelony z daleka. Rozejrzałem się wokół, później ogarnęło mnie przerażenie na widok leżącego wroga. Czyżbym strzelał i nawet o tym nie wiedział? Nagle z prawej strony ujrzałem dwóch biegnących oficerów oraz wyłaniającego się zza kolumny małego pałacyku... nie mogłem uwierzyć. Wrócił, William Roocker. Ręce miał skierowane ku górze, w jednej z nich strzelba. Otoczyli go, nie zwracając nawet na mnie uwagi. Żadne racjonalne wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy. Stałem jak wryty, jakbym był duchem niewidocznym dla nikogo, nie mogącym wydobyć z siebie ani jednego słowa. Co się właściwie stało? Dlaczego taki bezdusznik jak on wybawił mnie z opresji, pozbawiając życia mojego rywala, skazując się na więzienie? Po kilku dniach przyszedł list. Jego treść zawierała informacje dotyczące właśnie Roockera. Dowiedziałem się, że niedawno jego fabryka zbankrutowała, a tym samym cały majątek przepadł. O moim pojedynku z byłym narzeczoną Klary dowiedział się od kolegi, całkiem przypadkowo. Jako bankrut nie

miał zatem nic do stracenia. Jego brat zginął w bójce, więc nie chciał, bym ja skończył tak samo.

 Nie zdziwił mnie fakt, że William zdolny był do zabójstwa. Dopuszczając się go, nie osiągnął korzyści dla siebie i to utwierdziło mnie w przekonaniu, że znałem go tylko na tyle, na ile pozwolił się poznać.

Kalina Bartosiewicz
Dyskusyjny Klub Książki
Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej w Świebodzicach